

SPA usuniętych ciąż

29 kwietnia 2008

Dziennikarka „NIE” w domu sióstr urszulanek wśród innych oprawców poczętych.

Poaborcyjne wczasy reklamowało Radio Maryja: Osoby z doświadczeniem aborcji zapraszamy do domu sióstr urszulanek w Milanówku. Tam otoczeni przez siostry opieką i modlitwą uczestnicy mogą powierzyć Miłosierdziu Bożemu swoje cierpienie...

– Zmarł nagle mój tatuś. Brałam wtedy leki. Koleżanka powiedziała mi, że z tych leków będzie nienormalne dziecko. Miałam tylko jedną aborcję, przebacz mi, Boże. A ty? – Spaceruję z Krystyną po ogrodzie zakonnym, siadamy na ławce. Jest piątkowe popołudnie. Zamiast przeciwsłonecznych okularów mam modlitewnie splecione ręce. Krystyna mówi, że miałyśmy fart, bo już trzy razy próbowała się tutaj dostać i zawsze brakowało miejsc. 3-dniowe rozgrzeszanie z aborcji organizują księża do spóły z zakonnicami. Pomocą służy religijny psycholog ze Stowarzyszenia Psychologów Chrześcijańskich. Zakonnice sprzedają dach nad głową i żarcie w Domu Rekolekcyjnym w podwarszawskim Milanówku. Ksiądz i psycholog sprzedają strawę duchową.

ZAMIAST ANTYKONCEPCJI

Wszystko to za jedyne 250 złotych od głowy, dla par – pięć stów. Smał trzeba wpłacać na konto fundacji księży ze Zgromadzenia Marianów „Centrum Psychoedukacji i Mediacji”. Ponieważ zyski klerykalnych tworów są nieopodatkowane, to dobry biznes. Gdyby aborcja była legalna albo środki antykoncepcyjne refundowane, dochody Kościoła byłyby tak samo uszczuplone jak lekarzy wykonujących drogie, bo nielegalne, zabiegi aborcyjne. Liberalizacja prawa aborcyjnego lub wychowanie seksualne połączone z promocją środków antykoncepcyjnych jest więc w

Polsce tak samo możliwe jak masowe zmądrzenie.

Dom sióstr urszulanek to okazała przedwojenna willa, którą podarowała zakonnicom jakaś hrabina w zamian za dozgonną opiekę. Staruszka musiała nieraz wyklinać to swoje miłosierdzie, bo siostry są milutkie, dopóki nie zostaną poproszone o pomoc.

– Niech będzie pochwalony, siostro, zapomniałam ręcznika, czy możecie mi pożyczyć? – pytam z poczuciem winy i miną srającego kota.

Baba w szarym drelichu wykrzywia gębę tak, że przepraszam ją i mówię, że wytrę się papierem toaletowym. Z wielką łaską przynosi mi do pokoju coś, co miękkością i chłonnością przypomina papier ścierny. Ale może ręcznik też ma być elementem mojej pokuty, którą rozpoczęła popołudniowa msza za wszystkie dzieci pomordowane w łonach matek. Zastanawia mnie, których dzieciarów jest więcej – pomordowanych urodzonych czy nieurodzonych. U katolików jest chyba pół na pół, bo katolicka antykoncepcja to aborcja. W liczącej 6 osób grupie wczasowiczów aborcyjnych tylko Krystyna mówi o jednej aborcji i nikt jej nie wierzy oprócz mnie, bo też przyznaję się do jednej.

Janina i Wiesław mają na koncie czworo dzieci i tyle samo aborcji, ostatnia rok temu. Mariola ma pięcioro dzieci i trzy aborcje, z kolei Michał odwrotnie – pięć aborcji i troje dzieci, w tym dwie aborcje przedmałżeńskie i trzy małżeńskie.

Wszyscy wydali po 250 złotych na głowę, żeby przeprosić swojego Boga za dokonane morderstwa, bezlitośnie karane poczuciem winy i życiowymi niepowodzeniami.

– Musicie się zastanowić, co zrobicie, gdy zobaczycie swoje nienarodzone dzieci w niebie, co im powiecie, jeśli staniecie z nimi twarzą w twarz...

Widzę, że na gębach uczestników maluje się przerażenie. Chyba

nie tak wyobrażali sobie te wczasy. Agata Rusak jest nie tylko przykościelnym psychologiem, pracuje też na etacie w warszawskim Szpitalu Ginekologiczno-Położniczym im. Świętej Rodziny. To nie jest szpital prywatny, chociaż jest katolicki. Tylko jeden szpital położniczy w Warszawie nie ma świętego patrona. Tylko w Szpitalu św. Rodziny oprócz krzyży wisi wielki portret ojca Stanisława Papczyńskiego, obrońcy wszystkich zarodków. Krzyże u sióstr urszulanek mają świętą geometryczną prawidłowość, są większe niż największy ruchomy przedmiot w danym pomieszczeniu. W kaplicy krzyż jest większy niż ołtarz, w jadalni – niż telewizor, w pokojach większy niż krzesło, w sali konferencyjnej większy niż największa komoda. Wielkością konkurują z krzyżem portrety św. Urszuli Ledóchowskiej, założycielki zakonu.

KLĘCZĘ, WIĘC JESTEM

Papież nie-Polak jest tu mało popularny. Pytam jedną z zakonnic dlaczego. Chodzi o to, że siostry sporo wycierpiały przez Niemców w czasie wojny. Inni uczestnicy o nic nie pytają, nie mają żadnych wątpliwości. Po cichu podjudzam 55-letnią Mariolkę i pytam, skąd wie, że usunięcie zarodka jest grzechem. Mariolka nie wie i opowiada mi swoją historię. Ma męża alkoholika, który ciągle pije, przez co nie ma czasu na pracę, ale jest dobrym człowiekiem, bo nie bije ani Mariolki, ani dzieci. To aborcje zniszczyły Mariolce życie. Zrozumiała to słuchając pewnej pieśni, którą śpiewał chyba sam Chrystus: – Chodź, będę niósł z Tobą twój krzyż... Mariolka pamięta to jak dziś, odłożyła odkurzacz i ryczała przez dwie godziny. Przepraszam Mariolkę udając, że muszę do kibla.

Biegnę na samą górę do WC dla zakonnic. Wszędzie pusto. Urszulanki na modłach. Zamykam się w kiblu. Siadam na sedesie i śmieję się jak przygłup, później dostaję gęsiej skórki. Jestem pewna, że jak mnie tu zdemaskują, to zatłuką łopatą i zakopią w ogródku. W celu odgonienia złych myśli wypalam skręta i wychodzę. Na korytarzu łapie mnie ksiądz, przypomina o adoracji Najświętszego Sakramentu za 15 minut. Wchodzę do

pokoju. Gumoleum lepi mi się do butów, przez co podłoga wydaje się brudna. Dlatego na stole rozsypuję robałom okruchy, żeby nie wpieprzały mi się w nocy do łóżka. Przed wyjściem oglądam rysunki Raczkowskiego w „Przekroju”, przykrywam „Naszym Dziennikiem” i biegnę na adorację. Ten interesująco brzmiący obrządek jest w rzeczywistości katorgą, odpowiednikiem średniowiecznego samobiczowania. Polega na klęczeniu przez półtorej godziny na wąskiej drewnianej listwie przed złotym posążkiem przypominającym stateczną komórkę jajową atakowaną przez napalone plemniki, z których największy na samym szczycie ma kształt krzyżyka. W posążku zamknięte na kłódeczkę stoi Ciało Boże. Z tyłu klęczy ksiądz i co 10 minut odmawia krótki wierszyk, który należy zakończyć chóralnym „Zmiłuj się nad nami”. Adorowanie Chrystusa jest ciężką robotą i kosztuje więcej wysiłku niż najbardziej wyuzdane adorowanie faceta. Po adoracji Chrystusa jestem tak wykończona, że padam na tapczan i śpię do rana.

Budzik dzwoni o 7.00. Muszę być w kaplicy o 7.30 na porannej modlitwie. Ledwo wstaję. Od klęczenia pożółkły mi kolana. Podczas modlitwy padają słowa, od których wyje Mariolka. Przy śniadaniu tłumaczy mi, że ta modlitwa poruszyła jej serce, bo tak często zapomina o dziękowaniu Bogu za jego łaskę, na przykład za słońce. Szkoda mi Mariolki, że nie może Bogu podziękować za męża, i jednocześnie zastanawiam się, czy hormonalne środki na menopauzę są dozwolone dla katoliczek. Dzień Kobiet na przykład nie jest. Ksiądz Eugeniusz mówi, że to komunistyczne święto. Trochę mnie to wkurwia, bo akurat lubię Dzień Kobiet. W redakcji dostajemy z tej okazji po dwie stowy na krem. Wrywa mi się, że to przecież święto międzynarodowe. Zaskoczony sprzeciwem klecha cedzi przez zęby, że to międzynarodowe święto komunistyczne. Mówię mu, że we Francji nie było komuny, a Dzień Kobiet tam jest, na co klecha wypala, że we Francji były tajne obozy NKWD. Ponieważ w tej sytuacji pozostaje mi tylko powiedzieć klesze, żeby się jebnął w głowę, uśmiecham się do białego plastiku w jego czarnej koszuli i mówię: – Naprawdę? No to ma ksiądz rację. Dzień

Kobiet to komunistyczne święto. – Ksiądz Eugeniusz spąsował jak szynka na talerzu.

Po śniadaniu idziemy na zajęcia z psychologiem. Pani Agata publicznie zwraca mi uwagę, że moje ciągłe pisanie jest objawem wstydu za aborcję i utrudnia jej kontakt z moją duszą. Muszę odnieść zeszyt do pokoju. Od tej pory notuję w pamięci.

RADIO MARYJA I FIUT URBANA

Wszyscy uczestnicy poaborcyjnych wczasów słuchają radia ojca Rydzyka, chociaż Mariola przyznaje, że nie zawsze, bo brak jej czasu, ale jest to radio mówiące prawdę, której ludzie nie chcą przyjąć. Najwięcej szmału ojcu Rydzykowi przynosi jednak Krystyna, pielęgniarka z Łodzi. Słucha radia, kupuje „Nasz Dziennik” i ogląda TV Trwam. Po mszy Krystyna zaprasza mnie na dłuższy spacer do lasu, poza teren zakonu. Najpierw opowiada mi, że ostatnio w „Wiadomościach” usłyszała, że u homoseksualistów wykryto bakterię, która jest odporna na wszystkie leki, że tę wiadomość tylko raz puszczono i jakiś pedał ją pewnie wycofał. Później o córce, która wyjechała właśnie do Dallas, przez co Krystyna jest przerażona, bo tam przecież zabili Kennedy’ego, o zbliżającym się końcu świata, bo przecież czarny zostanie lada moment prezydentem w Stanach. W końcu opowiada mi o mężu alkoholiku, niechcianych, ale urodzonych zgodnie z wolą bożą dzieciach, które mężuś bijał już jako płody, przez co jeden z synów jest bardzo agresywny i ma poważne kłopoty z prawem, ale to dobre dziecko, chodzi do kościoła. Że mąż właśnie zażądał rozwodu, bo chce się ożenić z młodszą kochanką, też pijaczką, z którą jest od 10 lat. Krystyna nie może się ciągle z tym pogodzić i nawet wyrzuciła ostatnio jego zdjęcie z młodości. Był taki przystojny, ale diabeł go zniszczył. Krystyna odkładała przez rok pieniądze i pojechała nawet do Rzymu, do Jana Pawła II na pół roku przed jego śmiercią. Nic nie pomogło. Mówię, że papież był wtedy w strasznym stanie, nie był sobą, był warzywem, może dlatego nie zadziało. Krystyna robi się zielona:

– Nic Ojcu Świętemu nie było, tylko ten skurwiel Urban tak napisał...

Mówię Krystynie, że nawet o Urbanie nie można tak nie po chrześcijańsku mówić, ale Krystyna już odfrunęła:

– Żeby mu fiut zgnił i opadł do kolan i żeby szczał pod siebie ten padalec.

JANEK WIŚNIEWSKI PADŁ

Obiady u zakonnic są wyjątkowo smaczne, chociaż zbyt postne, zauważa Michał, któremu dokonane aborcje niszczą każdą podejmowaną pracę, przez co permanentnie jest bez roboty i w depresji. Ktoś obraźliwie pyta Michała, czy widział „Dzień świra”, na co Michał odpowiada, że widział „Psy” i ta piosenka „Janek Wiśniewski padł” wydała mu się taka sugestywna. Ksiądz Eugeniusz kiwa głową i wyjaśnia, że Janek Wiśniewski tak naprawdę nazywał się Jan Godlewski, a jego grób jest w mariańskiej parafii w Elblągu. Teraz tam odbywają się msze. Po raz drugi przychodzi mi do głowy, że Marks miał rację i czynni katolicy muszą być permanentnie na fai. Pierwsze takie skojarzenie nawiedziło mnie podczas zajęć z księdzem i Pismem Świętym. Ksiądz czytał nam o najcenniejszym rodzaju miłości Agape, która jest tak silna, że można oddać za nią życie. W taki sposób powinno się kochać nie tylko Boga, ale też ludzi.

GŁOS Z WNĘTRZNOŚCI

Muszę przyznać, że poaborcyjne zajęcia z księdzem i Biblią były najbardziej interesujące. Dowiadaliśmy się z nich niezbędnej do życia w świętości najprawdziwszej prawdy. Na przykład tego, że zarodek, zygota, a nawet gwałt, podczas którego dochodzi do zapłodnienia, jest bożym zamysłem, dlatego jest nienaruszalny. Wiadomo to z Pisma Świętego, gdzie czarno na białym jest napisane: „Powołał mnie Pan już w łonie mej matki, z jej wnętrzości wołał moje imię.” W księdze Izaaka z kolei stoi jak byk: „W dłoniach Boga wyryte jest moje imię.” Dziwne to uczucie wyobrazić sobie, że wszechpotężny Bóg swe

wielkie plany powierza sprytnym plemnikom, podatnej komórce jajowej i kretyńskim ruchom frykcyjnym. Jeśli nawet się tego nie rozumie – tutaj ksiądz bacznie na mnie spojrzał – to zrozumienie przyjdzie do nas samo, bo jak mówił św. Anzelm Grym, prawdziwa mądrość rozpoczyna się po 50. roku życia.

Tak właśnie produkuje się moher. Jest też prawda o aborcji. Aborcja to zamordowanie własnego dziecka, odrzucenie go, porzucenie. Aborcja ma wiele matek. Są nimi wszyscy ci, którzy nie odwiedli nas od tego czynu. Oni też popełnili z nami ten grzech. Patrzę na miny aborcyjnych wczasowiczów. To miła dla ich uszu prawda. Mariolka znowu płacze. Mówi, że kocha Pana Jezusa. Jest więc pewne, że Mariolkę kocha też Pan Jezus. Ale Mariolka na pewno nie kocha Mariolki. Co by było, gdyby Mariolka pokochała Mariolkę? Ksiądz mówi, że nie wolno siebie kochać, bo to egoizm.

Chrześcijańska psycholog na wzór sekciarzy posługuje się sformułowaniami: są badania, dowiedziono, teraz wiadomo już... Liberała prof. Lwa-Starowicza cytuję z dumą tylko raz, bo w latach 70. napisał podobno, że nieodczuwanie żalu po aborcji jest dewiacją. Humanistyczne odczłowieczanie płodu, poronienia i aborcje są nienormalne i patologiczne. Feministki nie są więc opętane przez diabła, tylko chore psychicznie. Zaczepiam po zajęciach chrześcijańską psycholog i mówię, że najwyraźniej jestem psychiczna. Argumentami na mój idiotyzm sypię jak z rękawa. Mówię na przykład, że urodzenie dziecka, żeby wylądowało w domu dziecka, było bite, głodzone, aż w końcu żeby komuś wypadło z okna albo oddanie go do adopcji jakiemuś zboczeńcowi, jest moim zdaniem gorszym pomysłem niż aborcja, czyli oddanie mojego dziecka w najlepsze ręce, bo Panu Bogu w niebie. Pani psycholog jest wyraźnie zaskoczona. Uspokajam mnie, że nie jestem psychicznie chora, ale nie może mi pomóc, bo w tej sytuacji pomoże mi tylko ksiądz.

CZY JESTEM DIABŁEM?

Ponieważ chciałam w końcu spróbować Ciała Chrystusa na mszy,

musiałam najpierw pójść do spowiedzi, co utrudniał z kolei mój brak żalu za aborcję. Szczerze wyznałam więc księdzu, że nie wydaje mi się, by odczytane przez niego biblijne wersety potwierdzały, że dwutygodniowy zarodek to człowiek, że mi się wydaje, że tam chodzi o ludzi, którzy czasem są dobrzy, a czasem źli. A niektórzy, mimo wielu przeciwności i wielu kopów w dupę, które sadzi im życie, i tak są dobrzy, jak gdyby powołał ich do tego sam Bóg już w łonie matki, zwłaszcza że nienapisane jest dokładnie, w którym miesiącu powołał. Kulturalnie zapytałam jeszcze, czy jestem diabłem. Ksiądz odpowiedział, że moje stanowisko jest kwestią wiary, a dokładniej łaski pańskiej, która spływa jako wiara i na mnie najwyraźniej jeszcze nie spłynęła. Następnie spojrział na zegarek i dodał, że się spieszy na następne spotkanie. Zapytałam więc, co z moją spowiedzią, bo chciałabym się wyspowiadać z mojego grzechu niepostrzegania grzechu jako grzech. Ksiądz Eugeniusz nadstawił ucha i nie zgodził się na spowiedź. Nie dostałam więc Ciała Chrystusa za brak bożej łaski.

Gdybym się jednak nawróciła, moje poaborcyjne nawrócenie musiałoby wyglądać tak: Najpierw przebaczyłabym sobie, co jest najłatwiejsze, bo część winy zważyć mogłabym na lekarzy i pielęgniarki biorących udział w aborcji. Następnie przebaczyłabym tym lekarzom. W takim wypadku bardzo pomogłoby mi wysłanie do kliniki aborcyjnej listu z informacją, że aborcja to grzech, który na mnie popełnili, ale że im przebaczam. Podobno istnieje nawet taki tajemny ruch nawróconych lekarzy „Centurion”. Wielu tych lekarzy zmobilizowały do nawrócenia takie właśnie listy. Po liście prosiłabym o przebaczenie moje zamordowane dziecko – zwizualizowała je sobie, dotykała, przytulała, mówiła do niego po imieniu, spędziła z nim noc, a następnie pożegnała, a nawet wyprawiła mu pogrzeb. Wówczas zostałoby mi tylko przebłaganie Boga. Mogłabym to zrobić poprzez Duchową Adopcję. Jest to o tyle upierdliwe, że na taką adopcję składają się: trwająca 9 miesięcy modlitwa w obronie życia poczętego polegająca na

codziennym odmawianiu jednego „Ojcze nasz” i dziesięciu „Zdrowaś Maryjo”, a także wypełnianie „Jasnogórskich Ślubów Narodu”, codzienne przysięganie, że „krew i życie oddam za obronę wszelkiego życia, najcenniejszego Skarbu Narodu”.

A ponieważ się jednak nie nawróciłam, ostatnią wczasową noc spędziłam na przeglądaniu lektur, które zakonnice przemyciły do mojego pokoju. W książce „Życie nie ocalone” wydanej przez Wydawnictwo Sióstr Loretanek znalazłam list Matki Teresy z Kalkuty z 24 września 1996 r. do polskich władz i całego narodu przestrzegający przed pomysłami liberalizacji prawa aborcyjnego. Matka Teresa przypominała polskim władzom, że wojny na świecie są przez aborcje, bo skoro matka zabija własne dziecko, to nic nie może nas powstrzymać od zabijania się nawzajem. Obok kopii tego listu loretanki zamieściły bratnią reklamę wydawnictw Rodziny Radia Maryja – „Wesela bezalkoholowe” oraz „Dlaczego Kościół potępił komunizm” Marka Jurka. Dostał mi się też prawdziwy unikat – „Nasza Książka Rodzina Radia Maryja w Darze Ojcu Świętemu” z osobistą dedykacją ojca Tadeusza Rydzyka dla księdza Piotra – modlitwy i cierpliwości oraz sprawozdaniem: Ojciec Święty Jan Paweł II życzył Radiu Maryja, aby zasięgiem swego działania objęło całą Polskę, służąc prawdziwej informacji, przepojonej miłością i opartej na sprawiedliwości.

Tymczasem w komodzie znalazłam skitrane za złożonym ceratowym obrusem afrykańskie wspomnienia znanego podróżnika Witolda Chromińskiego „W dolinie Kilombero”, co pozwoliło mi przetrwać intelektualną katorgę do samego końca. Przemierzając równinę masajską z północy na południe Chromiński trafił do znanych z gościnności tradycyjnie zbójeckich Masajów, którym nie wolno odmówić spróbowania ich jedyne go prócz upolowanej zwierzyny pożywienia – dziwaczne go w smaku napoju. Kilka dni później Masajowie z wyjątkowej sympatii zaprosili podróżnika do namiotu, gdzie napój przygotowywano. Było to mleko z krwią i sikami. Mieliśmy więc z Chromińskim podobne przez chwilę doznania.

Autor: Iza Kosmała

Źródło: [Tygodnik „NIE” nr 12/2008](#)